

POSŁANIEC + MATKI + BOSKIEJ SALETYŃSKIEJ

ROK XXIX—XXVI LISTOPAD 1949

„Wspomnij też Panie na sługi i służebnice Twoje“ —

Kołek Katarzyna, Chęciny.
Adamczak Maria, Siostra Miłosierdzia, Kraków,
Rajewska Barbara, Bruszczewo,
Hołowacz Michał, Ostrów.
Kubaszek Natalia, Żyrardów,
Ks Prałat Męski, Przemyśl,
Pankiewicz Jan, Dębowiec,
Cisek Salomea, Żołynia,
Karpiński J. Ostrowite k. Słupcy
Józefa Wojtunikowa, Dębowiec, matka Adolfa, kleryka naszego Wyższego Sem. Duch. w Krakowie.

którzy nas wyprzedzili, mając znamię wiary i śpią snem pokoju Tym duszom Panie i wszystkim w Chrystusie odpoczywającym, abyś raczył dać miejsce ochłody, światłości i pokoju — błagamy Cię przez tegoż Chrystusa, Pana naszego“.



Posłaniec do swoich Czytelników:

1. *Pisać zwięźle, ale czytelnie.*
2. *Za każdym razem podawać adres zwrotny, celem uniknięcia pomyłek.*
3. *Przy przesyłce pieniędzy wyjaśnić zawsze ich przeznaczenie: prenumerata, Związek Mszalny, dewocjonalia i t. p.*
4. *Przy zmianie adresu podać zawsze adres dawny.*
5. *Przesyłając prenumeratę od kilku osób równocześnie na jednym przekazie, trzeba wyjaśnić, ile przesyła się od poszczególnych osób. To tak ważne, by nie skrzywdzić kogoś odmową wysyłki Posłańca.*
6. *Otrzymujemy czeki bez wyjaśnień a nawet bez nazwiska przesyłającego. Co z tym robić? — Komu odpisywać?*
7. *Odbioru należnej za pisemko nasze prenumeraty nie kwitujemy — wstrzymanie wysyłki czasopisma jest niezaprzeczalnym dowodem nie uiszczenia prenumeraty.*
8. *Do redakcji zwracać się tylko w sprawie artykułów czy treści Posłańca Wszelkie inne sprawy dotyczące prenumeraty, Związku Mszalnego itp kierować do „Wydawnictwa Posłańca Matki Boskiej Saletyńskiej“, p. Dębowiec, pow. Jasło. woj. rzeszowskie.*

POSŁANIEC
MATKI BOSKIEJ SALETYŃSKIEJ
ROK XXIX LISTOPAD 1949 Nr 11

Śmierci, gdzie twoje zwycięstwo?

Listopad, to miesiąc cmentarzy... Gdy złote liście płaczących wierzb i brzóz, jakby kryjąc się przed wiatrem, wypełniają wgłębienia między mogiłami, otulając je szczelnie, cmentarz zakwita bielą chryzantem, a światło świec nagrobkowych bije łuną ku niebu... Patrzy na to z ukosa mały sierp księżyca zza ramion drzew sterczących ku niebu a miliony gwiazd, kryją swe światło... Na ziemi święto umarłych!... Każdy grób, kurhan każdy, kryje w sobie zaklętą tajemnicę życia... Patrz, jak leżą obok siebie w siostrzany uścisk ziemi spowici odwieczni wrogowie. Nie kłócą się już o skibę ziemi, nie prawują się maćkową gruszką. Ziemia ich dzieli, ona ich łączy. I choć nad jedną mogiłą sterczy latami wykrzywiony krzyż drewniany i sąsiednią zdobi marmurowy pomnik, jednakowe robactwo rozsadza ciała mieszkańców obydwu grobów. Zmęczeni tego świata bojownicy śpią w ciszy i pokoju, oczekując powszechnego ciał zmartwychwstania.

Nie przestają gnić ciała, ani zapadać się groby, gdy odmawiamy akt wiary w powszechne ciał zmartwychwstanie. Jakże się spełni tęsknota za najdroższymi i czy nie znajduje wyrazu w bieli kwitnących chryzantem i w łunie światła? Więc tylko światło na grobie, a poza — Ciemność?

Posłuchajmy na chwilkę Apostoła narodów św. Pawła: „My wszyscy zmartwychwstaniemy"... „Bywa wsiewane w skazitelności, powstanie w nieskazitelności. Bywa wsiewane w niesławie, powstanie w chwale. Bywa wsiewane w słabości, powstanie w mocy. Bywa wsiewane w ciało cielesne, powstanie w ciało duchowe".

Ziarnko pszenicy, zanim zakiełkuje, musi, jak mówi Chrystus, umrzeć... Musi ziarno ludzkie być zakopanym w ziemi, od-

począć, rozłożyć się pod powłoką cmentarną, by się odrodzić do życia nowego. Słusznie przeto zauważa Apostoł: „Co ty siejesz, nie ożyje, jeżeli wpierw nie umrze“!

Oto wielkie prawo, ocienione tajemnicą, którego prawdziwości poręczycielem jest SŁOWO BOŻE!

Groby cmentarne, te urny prochu, zbiorniki łez, okryte kirem żałoby i smutku, w listopadzie kwitną, rosną, unoszą się kwieciem ku niebu... Stąpa się wśród zieleni wieńców jodłowych i białych chryzantem, a ostrożnie, by myślą obcą, zanadto świecką, nie pokalać bieli kwiecia, nie naruszyć ciszy tego świętego miejsca wypoczynku ciał umęczonych życiem... Nawet chłodne, poważne marmury, ożywają w świetle świec, nabierają lekkości i zdają się mówić przechodniowi: „Stoimy na straży kiełkującego życia“.

Tu zabiera głos Apostoł narodów: „Oto, tajemnicę wam, powiadam... wszyscy wprawdzie zmartwychwstaniemy... W jednej chwili, w okamgnieniu, na trąbę ostateczną!..., a umarli powstaną nieskażeni i my będziemy przemienieni“. (1 Kor. XV. 52).

REQUIEM

Listopadowy deszczyk mży, a z wieży bije smętny dzwon,
A w sercu żal, a w oczach łzy; daleko słychać smętny dzwon.
Na ziemi mrok, na niebie mgły...
Requiem aeternam...

Jęczą organy, płynie tłum, kościół w żałobie, w gromnic skrach,
To modlitw szept, to westchnień szum, niebo i ziemia toną w łzach;
Jęczą organy, błaga tłum...
Dona eis Domine!

Ty duszom zmarłych światłość daj! przez zwątpień noc do Ciebie szły,
Przez kolce szły ciernistych dróg, jak ogni błędnych chwiejne skry,
Tyś sprawiedliwy Pan i Bóg...
Et lux perpetua...

U stóp Chrystusa światło drży, to gromnic blask, to tłumu łzy.
Wysłuchał Pan, wysłuchał Bóg, na ludu swego wejrzał łzy,
Dał duszom jasność rajskich dróg...
Luceat eis!

LUCJAN RYDEL

Śp. Ks. Dr Eliasz Roux, m. s.

Błogosławieni umarli, którzy w Panu umierają, odtąd już, mówi Duch, aby odpoczęli od prac swoich, albowiem uczynki ich za nimi pójdą". (Apokal. 14, 13).



Śp. Ks. Dr E. Roux, m. s.
dyrektor, opiekun i wychowawca

5 października br. doszła nas wieść hiobowa, oparta na depeszy z Rzymu, że Ks. Roux, od 23 lat członek Zarządu Generalnego, nie żyje.

Ze zdziwieniem prawie niedowierzająco przyjęliśmy tę wiadomość. Wprawdzie od czasu do czasu podkreślał delikatnie swoje niedomagania i rwała się czasem nić korespondencyjna, ale nigdy nie przypuszczaliśmy, że tak szybko dobije do — przystani wieczności... Zresztą, za depeszą nadszedł list, podający przebieg ostatnich chwil nieodżałowanej pamięci Ks. Roux.

A było to tak.

20 września br. Ks. Roux, w towarzystwie innego księdza udał się do Miasta Wiecznego, zatrzymując się po drodze w domu nowicjackim naszej prowincji włoskiej, w Turynie. Do Rzymu zawitał w sobotę, dnia 24 września. Był z tego niezmiernie zadowolony, bo po wielu dziesiątkach lat mógł znowu odnowić znajomość z zabytkami, którymi pasł swoje oczy za czasów pobytu na studiach.

W jego zdrowiu nie zauważono nic alarmującego. W chwilach wolnych od zajęć odbył w towarzystwie owego kapłana kilka przechadzek. Zmęczył go trochę zgiełk uliczny i wyczerpał upał.

Dopiero 28 września dało się zauważyć pierwsze symptomy ataku, który unieruchomił całą lewą stronę ciała. Przywołany lekarz stwierdził stan groźny i zarządził natychmiastowe przewiezienie chorego do szpitala. Konsylium lekarskie potwierdziło orzeczenie

kolegi, odkrywając ponadto nadmierną ilość cukru w krwi i ogólne osłabienie, nie rokujące najmniejszej nadziei utrzymania chorego przy życiu.

Pozostało przygotowanie go na śmierć

Dnia 1 października o godz. 5 Przew. Ks. Generał Zgromadzenia Józef Imhof, udzielił choremu ostatniej pociechy religijnej, a w niedzielę, dnia 2 października, o godz. 12 powiedział choremu Bóg: „aby odpoczął od prac swoich" i zabrał go do siebie.

Zgon jego tak nagły i w okolicznościach nieprzewidzianych wprawił nas w przerażenie.

Trudno jednak na tym strasznym zdarzeniu zamknąć księgę życia człowieka, który między innymi na ziemi polskiej spędził lat 20. pełniąc jak zobaczymy w dalszym ciągu niniejszego, różne czynności związane z rozwojem naszego Zgromadzenia. Jego nazwisko figuruje w spisie pierwszych krzewicieli kultu Matki Boskiej Saletyńskiej na ziemi naszej. Nie ma wśród nas ani jednego kapłana, kleryka, czy brata saletyna, zwłaszcza wśród starszych, któregoby ks. Roux nie był przełożonym, mistrzem, profesorem czy wychowawcą.

Żywimy więc nadzieję, że ci wszyscy, a nawet i jego koledzy w zawodzie, będą nam wdzięczni, jeśli skąpe o naszych początkach wiadomości przeniesiemy na łamy „Posłańca", do którego Ks. Roux przed 29 laty, skreślił z rozmachem „Słowo wstępne" i współpracował w dalszym tego pisemka redagowaniu.

* * *

Ks. Eliasz Roux przyszedł na świat 8 października 1878 r. w Monestier d'Ambel, w pobliżu Corps i La Salette.

Pochodził z rodziny licznej i głęboko wierzącej. Już, jako mały chłopczyk, mieszkając w pobliżu Małego Seminarium Misyjnego w Saint Joseph obok Corps, często w towarzystwie rodziców udawał się na La Salette. Te wycieczki i dłuższe na Górze przebywanie w charakterze usługującego do Mszy św. odbiły się głębszym w duszy dziecka echem.

We wrześniu 1891 r. mały Elek zapukał nieśmiało do drzwi Małego Seminarium w St. Joseph z prośbą o przyjęcie. Liczył wtedy lat 13. Znany prawie wszystkim nie natknął się na trudności.

Po ukończeniu nauk średnich z odznaczeniem, młody, siedemnastoletni niespełna Elek zostaje powołany przez przełożonych, dnia 21 czerwca 1895 r. do odbycia rocznej próby w zakonie, potocznie pod mianem „nowicjatu" zwanej. Obłóczyny i próba odbyły się na Górze La Salette,

Wysokie, majestatyczne, urwiste góry, przepaściste jary, kędy miły potok Sezia od 19 września 1846 r. stale toczy swe kryniczne wody, wpływały czarująco na poetyczną duszę młodego aspiranta do życia zakonnego.

Ten rok próby odbytej u stóp Saletyńskiej Pani skuł jego młodzieńczą duszę na zawsze z ideą saletyńską.

3 października 1896 r. Elek wiąże się ze Zgromadzeniem Księży Misjonarzy Saletynów ślubami tymczasowymi w Bazylice Saletyńskiej i udaje się na studia filozoficzno-teologiczne do Rzymu, dokąd przenieśli się nasi klerycy z Loeche na formalne polecenie Ojca św. Leona XIII.

Pilny, systematyczny Elek zabiera się poważnie do zgłębienia zagadnień filozofii, którą ukończył stopniem doktora w Akademii św. Tomasza.

Przyszła kolej na studia teologiczne, które uwieńczył doktoratem na Gregorianum. W nagrodę za to, na życzenie przełożonych, Kardynał, Wikariusz Ojca św., dnia 25 maja 1902 r., krzyżując stułę na piersiach dwudziestoczteroletniego Elka, wyrzekł te znamienne słowa: „Przyjmij jarzmo Pańskie, jarzmo bowiem Jego słodkie jest, a brzemię Jego lekkie", a przy włożeniu ornatu: „Przyjmij szatę kapłańską, która oznacza miłość! Mocen bowiem jest Bóg pomnożyć w was miłość i doskonałość w uczynkach".

Po otrzymaniu święceń kapłańskich, zaczyna się dla młodego, gorliwego, inteligentnego i pracowitego kapłana nowa karta życia. Wiedzą, którą tak skrzętnie przez szereg lat gromadził, trzeba się było dzielić z innymi.

* * *

Właśnie w 1902 r. bawiąc w Rzymie z wizytą u Ojca św. Ks. bp Beawen ze Sprinfield w U. S. A. odwiedził również przełożonego domu Księży Misjonarzy Saletynów na Vicolo delle Campana i prosił go o kapłanów polskich, celem roztoczenia pieczy duszpasterskiej nad emigrantami polskimi jego diecezji. Dowiedziawszy się, że takowych młode Zgromadzenie jeszcze wówczas nie posiadało, zgodził się poczekać, z tym zastrzeżeniem jednak, że przełożeni wyślą natychmiast księży innej narodowości do ówczesnej Galicji, dla przyswojenia sobie języka polskiego.

Wybrańcami losu zostali Szwajcarzy. W ich liczbie znany wszystkim Ks. Schalbetter, późniejszy proboszcz w Stanisławowie i pracujący jeszcze dotąd wśród wychodźtwa polskiego w Bondsville Ks. Oswald Lorethan.

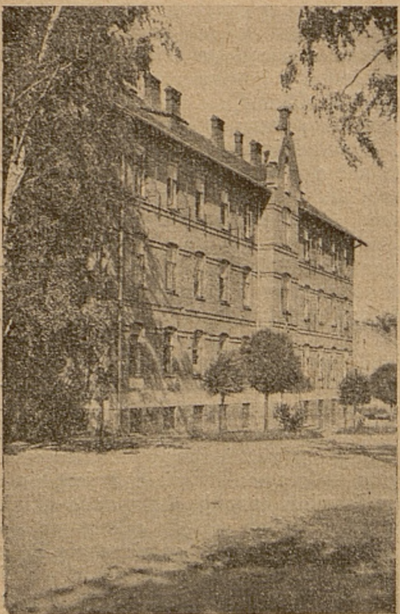
Po uzyskaniu zezwolenia na osiedlenie się w Krakowie od Księcia Kardynała Puzyny, wymienieni księża Szwajcarzy osiedlili się z końcem sierpnia 1902 r. w Krakowie, przy ul. Garncarskiej u SS. Sercanek, a następnie przenieśli się do Księży Misjonarzy na Stradom, doznawszy gościnnego przyjęcia ze strony ich przełożonego Ks. Kryski.

Po roku pilnej, żmudnej pracy o tyle radzili sobie z językiem polskim, że mogli się oddać z powodzeniem pracy duszpasterskiej, każdy u innego proboszcza. W roku 1904 dwóch księży odpłynęło do U. S. A., a Ks. Gabriel Va Roth widząc, jak rozległe otwiera się pole działalności duszpasterskiej przed kapłanem Polakiem na drugiej półkuli, wśród wychodźtwa, a wyjechało tam tylko dwóch misjonarzy, postanowił im stworzyć zaplecze misyjne w postaci Małego Seminarium. Zwrócił się więc z prośbą do Ks. Arcybpa Bilczewskiego o wskazanie jakiejś miejscowości na ten cel. Arcypasterz, doceniający ważność zagadnienia przeznaczył Księżom Saletynom wieś Puźniki, obok Barysza, pow. Monasterzyska, nakładając równocześnie na księży obowiązek pracy duszpasterskiej w powstającej tam parafii. Zaopatrzeni w odpowiednie dokumenty księża Van Roth i Schnyder osiedlili się w Puźnikach w sierpniu 1905 r. przedstawiając równocześnie Zarządowi Generalnemu Zgromadzenia Księży Misjonarzy Saletynów w tęczowych kolorach możliwości utworzenia tam Małego Seminarium. Mając przed oczyma wyobraźni obraz namalowany przez wspomnianych księży Rada Generalna kieruje tam najpierw ks. Eugeniusza Picarda, a następnie wspomnianego wyżej ks. Schalberta i ks. Eliasza Roux.

W ten sposób, po trzyletniej pracy w charakterze korepetytora dla naszych kleryków na uniwersytecie gregoriańskim, zostaje ks. Roux przeszczepiony z woli przełożonych na teren polski, na którym miał pracować przez dwadzieścia lat.

Za przewodnika po krętym labiryncie składni i pisowni polskiej służył mu przez cały 1906 r. ks. Schalbetter, który podczas swego, prawie dwuletniego pobytu w Zakopanem wygładzał swą znajomość języka polskiego pod okiem samego Henryka Sienkiewicza.

„Początki Małego Seminarium w Polsce, pisze ks. Eugeniusz Pikard, obecnie prob. w En Ogoz w Szwajcarii, były niezmiernie trudne". Do najbliższej stacji kolejowej, Komarowki, było tylko 10 km drogi wyboistej i błotnistej. Przez kilka miesięcy pisze dalej ks. Picard sypialiśmy na słomie żytniej, ja w wielkiej szufladzie, a ks. Schalbetter i Roux mieszkali całą zimę w nieopalonym pokoju".



Małe Seminarium w Dębowcu.

Wyżsi przełożeni stawiali na kartę wybitnie zdolnego Księdza Roux w tym kształtującym się dopiero dziele polskim. Nie zawiódł pokładanych w sobie nadziei. Szybko pokonał trudności językowe i w pierwszych miesiącach 1908 r. stanął do pracy u boku swego przełożonego i dyrektora ks. Schalbettera, w charakterze profesora.

Dwunastu uczniów, rekrutujących się przeważnie z najbliższej okolicy, zapełniło gwarem i młodzieńczym śmiechem pokoje dawnej plebanii i przyległego do niej spichrza, dostosowanych na prędce do nowych celów.

W roku następnym dobudowano piętro kosztem 28.000 koron i podwojono liczbę uczniów. Mimo tych, powiedzmy technicznych ulepszeń, dom i niedostępna wieś nie sprzyjały rozwojowi Małego Seminarium. Poczęto się oglądać za nowym, stosowniejszym obiektem.

I, na nasze nieszczęście, podczas poszukiwań zetknięto się z wikarym z Monasterzysk, ks. Zytkiewiczem, rodem z Dębowca, pow. Jasło, który w takich tęczowych umiał przedstawić swe miasto rodzinne i jego mieszkańców barwach; tyle wyczarować piękna, rzekomo bijącego ze starego dworzyszcza Ziemiałkowskich; a wreszcie z taką mocą przemówił do zwiedzających owe „zabytki" księży, stary, odwieczny dąb „Dewajtis", że postanowiono już więcej i dalej nie szukać, a przeciwnie, zostawić, o ile wyrazi na to swą zgodę, bawiący na kuracji w Czechach, J. E. Ks. Józef Pelczar.

Ksiądz Biskup nie sprzeciwił się. Wypłacono więc Wysokiej Radzie Miejskiej Miasta Dębowca żądaną sumę, 25.000 koron, po załatwieniu formalności notarialnych i Księża Saletyni stali się właścicielami parku i starego dworzyszcza, otoczonego lamusami i innymi ruderami. Kupione „cacko" nie nadawało się na pomieszczenie szkoły i internatu. Przystąpiono więc bezzwłocznie

do budowy istniejącego jeszcze dotąd gmachu jesienią 1910 r., który wykończono wiosną i latem roku następnego.

„Jesienią, dnia 18 października 1911 r. w piękny, jesienny dzionek, jak to ślicznie zauważył w swej „Kronice" ks. August Gauthier zaczął się przelew życia seminaryjnego z Puźnik do Dębowca, na przestrzeni 400 km pod okiem nowego dyrektora ks. Roux".

Nowy gmach posiadał jeszcze wiele braków. Było dużo niewykończonych sal. Mimo wszystkie niedogodności i niewygody od 22 października zaczęły się normalne lekcje, a półroczny egzamin dowiódł niezbicie, jak profesorowie i uczniowie poważnie traktowali swe zajęcia.

Na rok szkolny 1912/13 ks. Roux przyjął znowu kilku uczniów, tak, że liczba ogólna przekroczyła dwa tuziny. Młody, rzutki, pełen energii dyrektor nadawał ton całemu zespołowi, jednając sobie wszystkich, słodkim prawie nigdy nieschodzącym z jego twarzy uśmiechem.

A wyniki pracy?

Już 5 sierpnia 1913 r. wyrusza do nowicjatu pierwsza grupa młodzieńców, absolwentów Małego Seminarium w Dębowcu: Herbut, Litowski, Laszkiewicz, Sowa, i Tustanowski.



Sp. Ks. Schalbetter (przed kościołem w Stanisławowie ze swoim wikarym.

Nowy rok szkolny 1913/14 rozpoczyna 52 uczniów. Byli to już przedstawiciele wszystkich trzech zaborów. Wszystko zapowiadało się jak najlepiej. Chłopcy z największą pilnością przykładali się do nauki i świadectwa najlepszych wyników unieśli z sobą na wakacje, z których większość, zwłaszcza starszych, już nie powróciła, gdyż zaborcy, wciągając ich pod broń, uzbroili Polaków przeciwko sobie do morderczej rozprawy.

1 sierpnia 1914 r. usiłuje jeszcze ks. Roux odwieść dwóch aspirantów do nowicjatu, (Piszczałkę i Rymę) ale zastał już granice zamknięte. Wobec tego, Władze zakonne mianują ks. Roux mistrzem nowicjatu i wspomniani aspiranci odbywają próbę życia zakonnego w Dębowcu, pod jego kierownictwem. Wspaniałe widocznie musiało być to kierownictwo, skoro Józef Ryma, potrafił w ciągu jednego roku przestawić swój trudny, nieznośny dla otoczenia charakter.

na łagodność, cierpliwość i wyrozumiałość. Z nowicjatu wyszedł inny człowiek, pełen miłości dusz i ukochania ideału. Po spędzeniu trzynastu lat na Madagaskarze wraca do Polski, jako gruźlik. Wraca do Ojczyzny i tu jego świątobliwego życia nić przecina nieubłagana śmierć. Zwłoki jego złożone na parafialnym cmentarzu dębowieckim, oczekują powszechnego ciał zmartwychwstania, a czyjaś nieznana ręka składa na jego grobie garść kwiatów czy zieloną gałązkę jodłową, zapewne z wdzięczności za pośrednictwo u Boga.

Wróćmy w mury Małego Seminarium.

Po rocznej przerwie powrócili uczniowie do Zakładu, stwierdzając z przerażeniem, że generator gazu świetlnego i całkowite niemal urządzenie gazowo-świetlne zostało zniszczone, a tylko gdzieniegdzie kopcące lampy naftowe rozszczepiały mroki nocy. Zagrażał brak żywności. Zakład borykał się z olbrzymimi trudnościami. Tajemnicę dostarczania żywności uniósł z sobą do grobu Ks. Schalbetter. Tylko ta nadzwyczajna zapobiegliwość przełożonego, umożliwiła ks. Roux kontynuowanie nauki bez dotkliwych przerw.

* * *

Piszący te słowa miał szczęście zetknąć się z ks. Roux po raz pierwszy dnia 29 września 1917 r. Pamiętam ten dzień. Ośmiokilometrowy odcinek drogi, dzielący Jasło od Dębowca, przebyłem jako jedenastoletni chłopiec pieszo, w towarzystwie matki, dźwigając z nią pospołem całą moją małoseminaryjną wyprawę.

Była to godzina może 13.

Na alei przed domem spotkaliśmy trzech księży: Schalbettera, Roux i Gauthier.

Przywitały nas najpierw ogromnie życzliwe oczy, a następnie odłączył się od grupy ich właściciel, miły, zgrabny, średniego wzrostu brunet, pytając się równocześnie: „Nie zmęczyliście się bardzo"? „Chyba głodni jesteście"... Zawołał na mnie po imieniu, nie widząc mnie nigdy przedtem. Nie trzeba podkreślać, jak ujął tym małego berbecia... biorąc me serce na zawsze!

Po posiłku i krótkim wypoczynku nastąpiło zapoznanie się z kolegami. Dowiedziałem się wtedy, że wszystkich w taki mniej więcej sposób witał. Wszystkich po imieniu. Gdy niejednemu z kolegów, przy odjeździe rodziców, zakręciła się wścibska łza w oku, ks. Roux umiał tak serdecznie pocieszyć beksę, że następna łza, zakwitła w drugim, oczywiście spłonęło prawem ciążenia po policzku, tonąc w ustach, o ile nie zmarnowała się w kurzu i żwirze boiska, ale następna już nie miała odwagi cywilnej pokazać się w oku... widząc życzliwą i uśmiechniętą twarz opiekuna-wychowawcy.

Pod jego okiem już się nie płakało.

Nie znaczy to bynajmniej, że ks. Roux nas może rozzuchwalał, pozwalał na wszystko, albo patrzył przez palce na zło! O, nie!

Trzema zazwyczaj drogami trafiał ks. Roux do duszy swych wychowankóów: rozmyślaniem, nauką i indywidualnymi rozmowami.

Zaraz po modlitwie porannej ks. Dyrektor w krótki, niezwykle dostępny dla wszystkich umysłów sposób, naświetlił przejawy życia młodzieńczego, umacniając przed złem i pokusą.

Do postępu w nauce przywiązywał wielką wagę. Zwalczał leniuchów i wszelkie nieróbstwo. Uczeń leniwy niedługo zagrzewał w murach Seminarium. Czarował uczniów wiedzą i umiłowaniem

przedmiotów, które bardzo przystępnie wykładał. Wielbiciel łaciny i greki, tak umiał ponętnie i przekonywująco o ważności swoich przedmiotów prawić, że całymi godzinami grzebaliśmy w olbrzymich słownikach w poszukiwaniu za najdłuższymi greckimi wyrazami, które ks. Ruox niesłychanie lubił, a uczyliśmy się na pamięć całych stron Iliady czy Odyssei, roztkliwiając się nad ich bohaterów nieniezwykłymi przygodami.

Nie potrafiły podważyć naszego szacunku dla wspomnianych przedmiotów, ani ponętne logarytmy, ani wypadki wojny trzydziestoletniej. Ks. Roux przewyższał innych członków grona profesorskiego umiejętnym oddziaływaniem na honor ucznia. Nie posługiwał się nigdy słowami uwłaczającymi godności człowieka. Wobec ucznia, którego sposób bycia wybiegł trochę poza ramy regulaminu szkolnego, stosował osobiste rozmowy. Korzystał skwapliwie z każdej sposobności, jak wręczanie poczty, gry, pożyczania książki, by porozmawiać z wychowankiem osobno, bez ciekawych, dręczycielskich ócz kolegów.



Ks. M. Kolbuch, m. s. jako zastępca mistrza Suzie we Włoszech. Rok 1919

Takie rozmowy w języku wewnętrznym nazywaliśmy „wizytami". Ten, nazwijmy go, „chwyt" wychowawczy nie był pozbawiony pewnego ceremoniału zewnętrznego. Odbyło się to w porze wieczornej, podczas nauki prywatnej.

Otwierały się cichutko drzwi głównej uczelni, w której odrabialiśmy lekcje na dzień następny. Ukazywała się w nich lampa naftowa, osłonięta zielonym abażurem, a zza lampy, z ciemnego korytarza, dochodził cichy głos dyrektora: „Kaczmarczyk, proszę do mnie na wizytę".

Uczniowie przepadali za tymi wizytami i chętnie dopominali się o nie. Na tych rozmowach ks. Roux przypominał nam obowiązki nasze wobec rodziny i obowiązek pisywania listów. Pytał o trudności. Sprawy przykre poruszał bardzo z daleka i oględnie, a gdy czasem musiał o coś nieprzyjemnego zapytać, czynił to z takim zażenowaniem, strzepując najpierw z idealnie czystej sutanny proch, że młody winowajca, chcąc wybawić wychowawcę z kłopotu i dla zaoszczędzenia mu przykrości, sam wylewał kawę na ławę, przyznając się do wszystkiego. Potem następowało upomnienie krótkie, stanowcze, zawsze ojcowskie. Ileż on w ten sposób uratował powołań! Ile charakterów przekuł na lepsze! Jak umiejętnie odsiewał kąkol od ziaren pszenicy!

Sam, ujmująco skromny, nie znosił żadnej sztucznej wyniosłości

czy zarozumiałości. Wspaniałe są te jego lekcje pokory udzielane małym i dużym zarozumialcom, zawsze jednak z uśmiechem i z tą, tak rzadko u wychowawców spotykaną, gołębią prostotą serca.

Toteż pod jego kierownictwem Małe Seminarium Misyjne w Dębowcu nabrało rumieńców nadzwyczajnego życia, rokując na przyszłość najlepsze nadzieje.

W r. 1919 ośmiu alumnów odpłynęło z murów Seminarium do nowicjatu we Włoszech, pod opieką pierwszego Polaka saletyna, ks. Michała Kolbucha. W roku następnym poszło w ich ślady trzech. W pięć lat później, po odbyciu próby nowicjackiej w Dębowcu, czterech kleryków podążyło na studia do Rzymu.

Zakład tętniał życiem. Zżyliśmy się z naszym ks. dyrektorem i nikt nie przypuszczał, że cichego, pracowitego i wychowawstwu w całości oddanego kapłana zna ktokolwiek i nim się interesuje.

Przyszedł rok 1926. Ks. Roux wyjeżdża na Kapitułę Generalną, jako przedstawiciel dzieł saletyńskich w Polsce. Na tę wieść duma rozpierała nasze serca. Niechże, dowiedzą się Francuzi, Amerykanie i inni o naszym życiu, mawialiśmy z zadowoleniem.

A ks. Roux pojechał i więcej na zajmowane stanowisko nie wrócił. Przedstawiciele Zgromadzenia wybrali go członkiem Rady Generalnej. Najwidoczniej zaimponował 48-letni dyrektor Małego Seminarium w Dębowcu przedstawicielom Zgromadzenia, skoro i następne trzy Kapituły (1932, 1938 i 1948) zatwierdziły go na stanowisku. Służył swą radą i wielkim doświadczeniem aż trzem Przełożonym generalnym.



Rok 1925. Ks. Roux, (czwarty od lewej) w otoczeniu profesorów i uczniów Małego Seminarium w Dębowcu.



Rok 1932. Ks. Roux w otoczeniu przełożonych i kleryków.

Powołanie długoletniego dyrektora Seminarium na zaszczytne i odpowiedzialne stanowisko Członka Rady Generalnej odbiło się boleśnie na krzepnącym dziele polskim. Na miejsce wytrawnego, rutynowanego wychowawcy weszli ludzie dobrej woli, ale zupełnie nowi, pozbawieni takiej drobnostki, jak doświadczenia. Podczas gdy następcy ks. Roux szukali dróg do umysłu i serca wychowanków, przestawiając w pośpiechu sposób myślenia z wczorajszych naszych uczniów czy słuchaczy fakultetu, na wytrawnych pedagogów, on kroczył śmiało szlakiem dwudziestoletniego doświadczenia. Ci, czynili próby, a on szedł śmiało do celu.

Krótko i zwięźle mówiąc, był — P o w a g ą!

Mimo setki kilometrów dzielących go od Dębowca nie przestawał się nigdy interesować losem i rozwojem Małego Seminarium. Utrzymywał żywą łączność korespon-



Śp. Ks. Dr Klemens Schleis, m. s., zabity we Lwowie, podczas nalotu niemieckiego dnia 17. IX. 1939 r.

dencyjną nie tylko z przełożonymi, ale z każdym, ktokolwiek do niego choć jednosłówko skreślił.

Gdy w maju 1932 r. Małe Seminarium święciło dwudziestopięcioletnie gody swego istnienia, poproszono i b. dyrektora ks. Roux na tę uroczystość. Niepomny na trudy podróży, wybiera się w drogę z Turynu. Radość jego nie miała końca, gdy na powitanie wyszło ponad pięćdziesięciu wychowanków: księży, kleryków, braci — uczniów jego. Mimo opanowania ogromnego i wielkiego wyrobienia wewnętrznego, nie zdołał zwalczyć wzruszenia, które wygrywało pieśń tęsknoty i uwielbienia dla przybranej swojej ojczyzny — Polski!

Piszący te słowa śpieszy jeszcze nadmienić, że do pierwszej uroczystej Mszy św., odprawionej dnia 21 czerwca 1932 r. w kaplicy dębowieckiej, asystował mu Przew. ks. Roux, w towarzystwie ks. Klemensa Schleisa, dyrektora Małego Seminarium.

Po uroczystościach jubileuszowych powrócił ks. Roux do Turynu, by nadal w Radzie Generalnej być rzecznikiem spraw naszej prowincji polskiej. Starał się i dbał o nas. Zabiegał o książki i czasopisma, któreby mogły nas interesować. Dopominał się zawsze o Posłaniec i pisywał do nas przepięknym polskim językiem, którego nie zaniedbał, jak pisze Najprzew. Ks. Generał, przez cały czas swego poza Polską pobytu, a na łożu śmierci szeptał akty strzeliste po polsku. To dowód, że do końca pozostał nam wiernym, aczkolwiek posłuszeństwo przełożonym trzymało go z dala od nas.

Przedobry Bóg zaoszczędził nam przykrego widoku zmagania się naszego Drogiego Ojca i Wychowawcę ze śmiercią. Nie danym nam było pochylić się nad jego mogiłą i rzucić na nią grudki polskiej ziemi.



Rada Generalna: Śp. Ks. Roux, pierwszy od prawej. Rok 1946.

Bóg kazał mu odpocząć snem wiecznym, przywołując na szalę Swego nieskończonego miłosierdzia czyny zmarłego, które tam, wierzymy, przechylą wagę szczęśliwości wiecznej, a tu głosić będą chwałę Bożą!

I chociaż ciało naszego Drogiego Wychowawcy pokryła darń zielonej Umbrii, a z czasem może jego mogiła zrówna się z runią smentarza, — „czyny jego pójdą za nim!" Mury Małego Seminarium w Dębowcu i ci, którzy z rąk jego otrzymali wychowanie i wykształcenie głosić będą po wszystkie czasy wspaniałe cnoty tego świątobliwego kapłana i niezrównanego wychowawcy, który polecenie Matki Najświętszej Saletyńskiej: „Ogłoście to wszystkiemu mojemu ludowi" wziął za hasło życia, by krzewić Jej cześć w sercach przyszłych misjonarzy saletynów.

Cześć jego pamięci! Niech odpoczywa w pokoju!

Zarząd klasztoru w Dębowcu serdecznie dziękuje wszystkim: byłym wychowankom i sympatykom Ks. dyr. E. Roux za ofiary na tablicę pamiątkową na cześć byłego dyrektora i wychowawcy.

Zanim zawyrokujesz: Za lub przeciw...

Na pewno słyszałeś już, Drogi Czytelniku, o tej krótkiej historii, którą chciałbym Ci przypomnieć.

Opowiem ją tak, po mojemu... Będziesz mi wdzieczny za to!

Miałem przyjaciela, któremu na imię było Maciuś. Na mnie wołają przyjaciele i wrogowie po staremu, Heniek. Znałem dokładnie wszystkie zakątki domu Maciusia wraz z przyległościami.

Maciuś posługiwał się wszystkimi moimi zabawkami. Właził na wszystkie drzewa w naszym ogrodzie. Wbiegał do piwnicy i na strych. Wspólnie biegaliśmy po drogach i miedzach i płoszyli żaby po kałużach...

Największą karą dla mie było usłyszeć od matki: »Heniek, dziś nie pójdziesz do Maciusia«.

A tu jednego dnia, nasza zażyła przyjaźń omal nie zamieniła się w straszną nienawiść.

Zaczęło się od gry w guziki...

Wygrywałem wprawdzie i ja, nawet często, ale zwycięstwo przechylało się prawie zawsze na stronę Maciusia, któremu musiałem oddać wszystkie guziki od marynarki i musiałem jeszcze dołożyć skądinąd... Długa, workowata kieszeń Maciusia napełniała się szybko pięknymi, blaszanymi guzikami i to, moimi. Pożółkłem z zazdrości. Musiałem długo czekać na kolejkę odegrania się, gdyż Maciuś był graczem poszukiwanym i wielu kolegów rościło sobie do jego kieszeni pretensje. To mnie niecierpliwiło... i obudziło w sercu nienawiść do wczorajszego jeszcze przyjaciela. Maciuś, wychodząc z klasy, popchnął mie na ścianę, wołając! »Ty guzdrało!«

Odpowiedziałem mu szturchańcem i zwiałem...

W domu żaliłem się przed mamą na Maćka. Wytoczyłem przeciw niemu cały arsenał jego błędów i popełnianych niegodziwości. Mówiłem,

mówiłem, jak najęty. Jakby mi płacono od ilości wypowiedzianych przeze mnie słów. W natchnieniu oszczerczym, nie zdawałem sobie sprawy, że powtarzałem w kółko to samo...

Mama słuchała nie przerywając, ani nie odpowiadając.

Dopiero, gdy skończyłem me prokuratorskie oskarżenie, mama przerwała pracę, kierując się spokojnie do szafy, z której wyjęła starą wagę kuchenną i moje pudełko z kostkami do gry, przepięknie malowanymi. O mało nie wyskoczyłem z ciekawości, na co mamie waga i kostki?... Nie bawiła się przecież nigdy moimi zabawkami. Pytałem nieśmiało:

Na co to?

Zobaczysz, odpowiedziała niedbale, sprawdzając powoli wagę.

Ponieważ nie ma wśród nas Maciusia, zabawimy się sami. Dobrze?

— Doskonale, odpowiedziałem.

— Usiądź na stole... Opowiedz jeszcze raz wszystko, cokolwiek złego wyrządził ci Maciuś. Za każdy jego zły uczynek rzucimy jedną kostkę na lewy talerz wagi.

Ponieważ taka propozycja mamy, schlebiała niesłychanie mojej miłości własnej zacząłem na nowo wyliczać swoje krzywdy, a w miarę oskarżania, mama składała po jednej kostce na talerzu, który za każdym razem się obniżał.

— Czy to już wszystko? — zapytała mama.

Przytaknąłem.

— A to nie wiele tego, odparła niedbale mama.

— Mamo, Maciuś to ogromnie niedobry chłopiec, odpowiedziałem przygnębiony.

Wtedy mama oparła swoją dłoń na mojej rozpalonej złością i kłamstwami głowie, mówiąc: »Teraz dopiero zabawa będzie zajmująca.

Czy masz ochotę bawić się dalej?

— Tak, odparłem bez większego przekonania.

— To powiedz mi teraz, co Maciuś zrobił ci dobrego i przyjemnego. Za każdym dobrym uczynkiem rzucimy kostkę na talerz po stronie prawej.

— ...?!

— Ponieważ skamieniałem z przerażenia, więc mama wyręczyła mnie, zadając mi okropnie niesympatyczne pytania.

— Pożyczył ci Maciuś swojej kolejki, prawda? — Tak!

— Przychodził po ciebie do szkoły? — Tak!

— Dzielił się zawsze cukierkami z tobą? — ...?! Zapomniałem odpowiedzieć, bo talerz z prawej strony nagle przeważył, a mama się uśmiechnęła, mówiąc:

— Popatrz, Heniu, co pokazuje waga. Maciuś wyrządził ci więcej dobrego niż złego! — On ma przedobre serce i powinieneś go nadal kochać!...

W odpowiedzi zakwitły mi w oczach łzy...

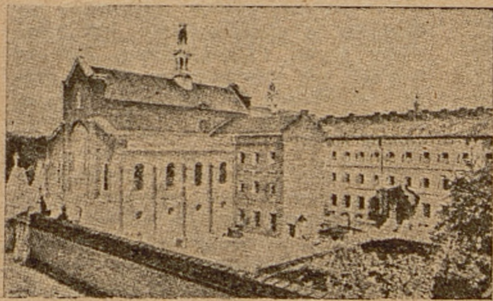
Od tej chwili upłynęło lat wiele, brzemiennych w radosne i smutne chwile. Pełne cierpień i przykrości...

Nigdy nie zapomniałem lekcji miłości bliźniego udzielonej mi spokojnie, a z całą stanowczością przez mamę, przy pomocy starej kuchennej wagi. I Ty, Czytelniku, zanim coś postanowisz, zanim wydasz sąd skazujący, rozważ wpierw dokładnie: za i przeciw!

J. E. B.

Uroczystość Ofiarowania N. M. P. w Zgromadzeniu SS. Felicjanek

Rokrocznie obchodzi Kościół św. Katolicki dnia 21 listopada pamiątkę Ofiarowania się na wyłączną służbę Bogu w Świątyni Jerozolimskiej 3-letniej Dzieciny, która później Matką Boga-Człowieka się stała. Dzień ten, który tak zaważył na całym życiu Najśw. Panienki, nie jest dla społeczeństwa katolickiego powszechną uroczystością. Ale jak każda tajemnica życia Marii jest czczona przez niektóre dusze, tak i ta nie została pominięta. W Polsce zwróciła na nią uwagę ogółu po raz pierwszy P. Zofia Czeska, zakładając przed przeszło 300-tu laty (r. 1623) Zgromadzenie Zak. PP. Prezentek (cz. od Ofiarowania N. M. P. łać. „Praesentatio"), a następnie druga Założycielka powszechnie znanego Zgromadzenia SS. Felicjanek Sługa Boża Matka Maria Angela Truszkowska, dzień ten w szczególny sposób upamiętniła.



Kościół i klasztor SS. Felicjanek w Krakowie.

W r. 1854 koło kościoła N. M. P. w Warszawie p. Zofia (później Matka Angela) zorganizowała instytut, w którym zostawiała pod opieką pobożnej staruszki najbardziej opuszczone i zaniedbane dzieci ulicy Stołecznego Miasta, a sama wraz ze swą kuzynką Klotyldą Ciechanowską, troszczyła się o ich utrzymanie, wychowanie i nauczanie. Gdy 2 izdebki, do których coraz więcej biedoty przybywało okazywały się za ciasne, Zofia, dzięki ofiarności społeczeństwa wynajęła obszerniejsze mieszkanie w domu OO. Dominikanów przy ul. Mostowej. Tutaj to w r. 1855 przezwyciężywszy przeszkody ze strony rodziny, wraz z Klotyldą, dziećmi i staruszkami, przeniosła się na stałe. Na uroczyste poświęcenie zakładu wybrano dzień Ofiarowania N. M. P.

W procesji przeniesiono w tym dniu obraz Matki Boskiej Częstochowskiej „Fundatorką" Zgromadzenia zwany, który ofiarowała Słudze Bożej p. Wrotnowska. Następnie przed tym obrazem młode opiekunki sierot „uroczyście przyrzekły poświęcić się na wyłączną służbę Marii według woli Przenajświętszego Jej Syna Jezusa Chrystusa" (Hist. Zgr.). Od tego czasu do Zofii i Klotyldy zaczęły przyłączać się bogate Panie Stolicy, a rozdawszy ubogim całe swe mienie na wzór Biedaczyny z Assyżu opuszczały rodziny, by w osobie największych nędzarzy służyć samemu Ubogiemu, Wzgardzonemu, Ukrzyżowanemu Chrystusowi. Dzień zaś ten poczęto uważać za dzień zawiązku nowego Zgromadzenia, które przyjęło regułę III go Zak. św. Franciszka, choć ani Zofia, ani Klotylda nie myślały o zakładaniu nowego Zgromadzenia. Toteż nic dziwnego, że dzień ten (haec dies, quam fecit Dominus) świątobliwa Założycielka w szczególny sposób umiłowała, że pozostał on aż do śmierci drogim Jej sercu, bo w dniu tym Matką i Rodzicielką w duchu dla nowego dzieła Bożego się stała i dlatego jak długo Zgromadzenie SS Felicjanek istnieć będzie, będzie On najdroższym dniem dla serca wszystkich Jej duchowych córek, które ofiarowując się z maleńką Marią na wyłączną służbę Bogu, pragną z Marią-Dziewicą jak Ona święcie i cicho przejść przez to życie ku większej chwale Jedynego Jej Syna Jezusa — dusz czystych Oblubieńca.

S. Rafaela

DZIEWICZA MATKA



Jezus Chrystus skupił w Sobie całą doskonałość ludzkiej natury i wystarczy na Niego popatrzeć, by się nauczyć, jak powinniśmy się zachowywać we wszystkich okolicznościach życia.

Musimy jednak dla ścisłości zaznaczyć, że ideał człowieka inaczej wciela w siebie mężczyzna, inaczej niewiasta. Każdy rodzaj ma w ludzkości sobie właściwą rolę odgrywać, zachowując własne właściwości i na właściwy sposób. To właśnie powód dla którego Matka Najśw. bierze udział we wszystkich tajemnicach życia Chrystusowego. Brakowało by po prostu czegoś Ofierze Kalwarii, gdyby tam nie było obecnej Matki Najświętszej, brakowało by jednej z największych cech natury ludzkiej: c z u ł o ś c i m a t c z y n e j.

Tak samo, gdy chodzi o życie, blaski światła, jakie rzuca na nie Chrystus, nie byłyby tak słodkie i tak przyjacielskie dla naszego ludzkiego wzroku, gdyby nie pochodziły z tego źródła pierworodnego i nie odbijały się od Krynicy łask wszelkich: Maryi, Dziewiczej Matki!

Ten cud dziewictwa, całkowicie zachowany w macierzyństwie jest przeciwny prawu fizjologicznemu. Jest on jedyny i tak niemożliwy w ramach prawa naturalnego, że trzeba tu widzieć pierwszą pieczęć Bożą w dziele odkupienia.

Nie umniejszamy cudu, owszem, zgłębimy go jeszcze, jeżeli zastanowimy się nad tym, jak odbił się on na duszy N i e w i a s t y błogosławionej między innymi. Dziewictwo i macierzyństwo nie są tylko zdarzeniami fizjologicznymi, są faktami ludzkimi. Znaczy to, że włączają również duszę, od skłonności najinstynktowniejszych począwszy aż do czynów najbardziej rozmyślnych.

Stąd pochodzi, że niewiasta przechodząc ze stanu dziewictwa do macierzyństwa, poświęca coś z właściwości swojej dziewiczej duszy i, przeciwnie, zostając dziewicą, zabija w sobie ukryte zdolności, wyczekujące wielkiego dnia macierzyństwa.

A w Maryi nic podobnego nie miało miejsca. W niej, na pozór sprzeczne cechy duszy niewieściej, schodzą się, ogniskują w najdoskonalszej harmonii, nie kompromisowo, lecz całkowicie. Wszelkie cechy delikatności dziewicy i wszystkie szlachetności matki jednoczą się w Istocie rzeczywistej w górnej krainie ideału. To prawdziwy cud w psychologii ludzkiej, to szczytowe zetknięcie się natury ludzkiej z boską, w łonie Przeczystej Dziewicy.

A można naśladować Maryję i dążyć do Jej pełnej z Bogiem harmonii, gdy w Jej dziewictwie i macierzyństwie widzi się nie zwykłe wydarzenia fizyczne, ale wartości duchowe. Tu, gdy się wymawia d z i e w i c t w o, musi się przez nie rozumieć w s t r z e m i ę ź l i w o ś ć i u w a g ę n a s i e b i e; kto zaś wymawia m a c i e r z y ń s t w o, musi uchylić głowę i rozum przed szczytowym poświęceniem, przez

totalne zapomnienie o Sobie. Być przecież dziewicą, nie znaczy bynajmniej zamykać się w sobie, zasklepić się w bezpłodnej dumie pustelniczej; ta, która obiera małżeństwo, zachowuje się dla męża i dla przyszłego potomstwa, w przeciwieństwie do dziewicy, oddającej się całkowicie na służbę Panu, przyjmującemu ten dar serca, wybierającego go za ostoję życia. A skoro Pan Bóg poślubia duszę, jakżeż wątpić w to, że będzie kochała wszystkie Jego dzieci?... Tak, istnieje naturalny pociąg do tego małego płomyka macierzyństwa nawet u tej, która nie rodzi. Ten pociąg do macierzyństwa płonie w sercu każdej niewiasty.

Nawet za klauzurą klasztorną nie brakuje dusz, które spalają się w poświęceniu dla innych tak rzeczywiście, jak inne dla dzieci z siebie zrodzonych. „Każdego poranku, wstając, myślę o chlebie dla moich dzieci" — wyznaje szczerze św. Terenia od Dzieciątka Jezus.

Większość dusz w świecie będzie wymagała obrazów o wyrazistszych konturach i więzów bliższych dla podtrzymania swego poświęcenia. Ale, ta rzesza głodnych i opuszczonych dzieci, ci chorzy i starcy, wyczekujący pociechy, ci, stojący na rozstajach dróg, — łazarze ludzkości, są aż nadto liczni, by szukać schronienia w sercu tej, która nie ma własnego rodzinnego ogniska. I stara panna, która oddała się całkowicie na służbę dzieci Bożych, która przez całe życie nie miała chwili wolnej dla siebie, będzie się mogła słodko uśmiechnąć, gdy panowie, nadęci wiedzą, oświadczą jej z emfazą, że nie będąc mężatką, musi z konieczności cierpieć na „komplikacje".

Natomiast niewiastę, która zaznała słodyczy pożycia małżeńskiego i która z uśmiechem zwycięskim, pieści na kolanach swe własne dziecię, owoc małżeńskiej miłości, cóż jeszcze łączyć może z dziewictwem? Tylko radość ducha z rozkoszą macierzyństwa. Zaledwie zachodzi potrzeba podkreślać ile na tym zyskuje współżycie wzajemne małżonków... Przecież nawet zwykła wierność małżeńska domaga się zdyscyplinowania. Zapomina jednak o tym wiele uczciwych niewiast i oddanych swym dzieciom matek, że należy być p a n i ą s i e b i e i i n s t y n k t u m a c i e r z y ń s t w a. W braku bowiem samokontroli, w braku zmysłu duchowego, ten instynkt, który jest bez wątpienia jednym z przedziwnych darów bożych, może zejść na bezdroża.

Są przecież matki, dla których piękny, pulchniutki berbeć nie jest innym, jak wesołym, małym zwierzątkiem, z którego nie zrobią nigdy istoty duchowej.

Są niegodziwe macochy, które przez nierówne traktowanie dzieci przyprowadzają je do szaleństwa lub wprost do więzień.

Są matki, które kochają swe dzieci w sposób tak dwuznaczny, że nie mogą spokojnie patrzeć na szczęście swych pociech. Wszystkie wyżej wymienione karykatury miłości macierzyńskiej są zasadniczo sprawdzianem tej samej prawdy: „że nie ma p o ś w i ę c e n i a tam, gdzie nie było p o s z a n o w a n i a s i e b i e".

Tylko serce dziewicze, surowe dla siebie, może, zdolne jest zakwitnąć wspaniałym kwieciem poświęcenia się dla drugich i odczuć w pełni instynkt macierzyństwa.

Odkąd obraz Dziewiczej Matki znalazł się w ołtarzach naszych kościołów, to znaczy od 10-ciu stuleci, najprostsza, nieuczona chrześcijanka, zdaje sobie lepiej sprawę od uczonych doktorów psychologii, gdzie znajduje się tajemnica równowagi między duchem dziewictwa a radością z macierzyństwa płynącej. Wystarczy jej wznieść oczy trochę ponad Tabernaculum i wpatrzeć się w oblicze Bożej Rodzicielki, uśmiechającej się słodko do Małego, w Jej przeczystym łonie, Ucieleśnionego Boga.

Mszy św. z należytym nabożeństwem słuchać.

Ludzie, jako stworzenia, zależą od Boga, od Niego mając istnienie. Nie można się tak łatwo wyzbyć tej zależności, bo ona przechodzi wolną wolę człowieka i jest wspólną cechą wszystkich istnień skończonych. Pan Bóg obdarzając istotę rozumną, tajemniczą, przedziwną zdolnością „chcenia", nakłada równocześnie na nią inny obowiązek, mianowicie: przyjęcia i wiernego zachowywania prawa dobra, z równoczesnym wystrzeganiem się zła.

Jesteśmy więc, jako istoty rozumne w obozie wolności i obowiązku równocześnie, — moralnej odpowiedzialności za czyny, a więc w orbicie sankcyj Bożych.

Matka Boska Saletyńska podkreślała tę naszą od Boga zależność i jej następstwa. Niedwuznacznie przecież brzmią takie słowa: „Jeżeli mój lud nie zechce się poddać, będę zmuszona opuścić ramię Mego Syna. Jeżeli się nawrócą, kamienie i skały zamienią się w stosy zboża...

Pan Bóg, mądry i Dobry Stwórca wszechrzeczy, ustala Swe plany, a człowiek — powinien je wykonywać. Ten zresztą obowiązek wypływa z prawa naturalnego, któremu człowiek powinien ochotnie się poddać. Pan Bóg podnosi naturę ludzką stwarzając cały organizm nadprzyrodzony tak dla jednostki, jak dla społeczeństwa, a człowiek odkupiony, jako członek tego nowego Mistycznego Ciała, powinien w sobie ożywiać i ułatwiać Krwi Chrystusowej krążenie w żyłach.

Warunek zasadniczy i ćwiczenie się w tej żywotności, narzuconej i wolnej równocześnie, polega na całkowitym i dobrowolnym zachowywaniu przykazań. Stąd i Matka Boska Saletyńska podkreśla ten program życia ludzkiego i chrześcijańskiego. Nie dobiera słów. W Swej trosce o nasze dusze schodzi w szczegóły, zwłaszcza te, gdzie najbardziej uwypukla się słaba strona naszych wierzeń — W i e r n o ś ć.

Dotknijmy jednego z podkreśleń Matki Boskiej Saletyńskiej.

Pora zimowa podkreśla jeszcze dobitniej stanowisko Matki Boskiej Saletyńskiej, wzmacniając słuszność Jej uwag. Zaleciwszy modlitwę poranną i wieczorną, mówi: „Na Mszę św. idzie tylko kilka starszych niewiast. Inni pracują w niedzielę przez całe lato, w zimie, nie wiedząc, co z czasem zrobić, idą na Mszę św. by sobie drwić z religii". Słowa Matki Najświętszej nie odnoszą się oczywiście do innowierców czy Botokudów, ale są wyrzutem pod adresem samych tylko katolików, którzy z Bezkrwawej Ofiary Mszy św. robią sobie temat drwin, przez niepoważne we Mszy św. uczestniczenie.

Bolesne to, ale niestety prawdziwe. Można to zauważyć nie tylko w mieście, jakimś portowym, ale na głuchej wsi. Odnosi się to do wielu katol ków.

Kiedyś byłem na mszy św. w jednej wiosce, słynącej w świecie z ogromnej liczby inteligencji. Pomijam już milczeniem wystawających pod kościołem parobczaków. Chodźmy do wnętrza. Przez główne wejście

trudno się przecisnąć. A, myślisz, spóźniłem się. Kościół napchany po brzegi. Torując sobie drogę łokciami, przekonasz się łatwo, że niedorostki niewieście zapchały tak szczelnie kruchtę po to, by usiłujący dostać się mimo wszystko do kościoła byli zmuszeni uderzać je w boki, a to też widocznie przyjemność. Od chóru przestrzeń wolna. W ławkach kilka starych babek, oczywiście z najbliższego otoczenia kościoła, by uniemożliwić zajęcie miejsca tym, którzy przeszli odległość pięciu czy sześciu kilometrów. Jedni śpiewają przeraźliwymi głosami Różaniec, a inne, czekając na swą kolejkę, dla zabicia czasu, rozmawiają z sobą. Patrzmy dalej! Tu i ówdzie babcia ma obok siebie w ławce dwoje czy troje wnucząt, które zajmują miejsca starszym, a następnie uczą się od młodu, jak nie należy śpiewać i zachowywać się w domu Bożym. Inni, ci „dufający w sobie", chcąc się wyróżnić, postawić wyżej od tej liczby celników, którzy z pokory czy głupoty, nie mają odwagi wejść nawet do kościoła, — ci pchają się pod sam ołtarz, zajmując ławki przeznaczone dla duchowieństwa. Pomijam już milczeniem, że chyba kapłanowi niewygodnie odprawiać, gdy mimo najlepszej chęci unikania rozproszenia, zagląda mu ktoś w oczy, ale i zachowanie się tych osób, pozostawia wiele do życzenia. Rozmawia się na oczach całego kościoła przed samym ołtarzem.

Jakie to szczęście, że wielu przychodzi do kościoła, by się rzeczywiście pomodlić. A ilu myśli, że jest na jakimś zebraniu mleczarskim.

Rozumię, że na wsi, właściwie tylko niedziela nadaje się do prześwieżenia sukienek, skrojonych według ostatniego krzyku mody. Wielu mężczyzn zadawalnia się podejściem do drzwi kościoła, dla odprowadzenia niewiast, wracając pod płoty, gdzie wyczekują na powrót tamtych, jak za czasów pańszczyźnianych czekali fornale na powrót z kościoła swoich państwa. Inni rozmawiają w czasie Mszy św. o interesach, a to wszystko razem wzięte, czyż nie znaczy, że na Mszę św. idzie się dla kpin?

Inni znowu, wchodzą do kościoła, ale nie mają odwagi przyklęknąć, nawet na Podniesienie, tak, jakby im zależało specjalnie na odtworzeniu na sobie niesympatycznej postaci „ewangelicznego faryzeusza"... A, jeżeli nawet zdecydują się na klęknięcie, to na jedno kolano i w ten sposób pozostają i podczas Podniesienia i w czasie Komunii św. Zresztą nie do rzadkości należą i kobiety klęczące na jednym kolanie...

Młodzieńcy często udają się do kościoła, by podkreślić swą „osobowość". Eleganccy w każdym calu, zajmują się niestety więcej krawatem i lśniącą od brylantyny fryzurą, niż tym, co się przy ołtarzu dzieje! Z zewnętrznego ich ułożenia, należało by wnioskować, że więcej myślą o pięknych czy brzydkich swoich koleżankach, niż o Bogu, utajonym w Przenajświętszym Sakramencie. Czy tego rodzaju zachowanie się nie mogło nasunąć Matce Najśw. tego znamiennego: „Gdy nie wiedzą, co z sobą robić, idą na Mszę św. by sobie drwić z religii"?

Panienki, znowu, nie wszystkie oczywiście, idą do kościoła, by

stać się przedmiotem podziwu i pochwał, a czasem i zazdrości ze strony sąsiadek, pozwalając sobie, dla zabicia czasu, na wyzywające spojrzenia w stronę kawalerów.

Często, wbrew upomnieniom św. Pawła i Kościoła, przychodzą, by dawać widowisko ze swej utlenionej koafiury. Wiele spośród nich, z oczyma podmalowanymi na zielono, z podgolonymi brwiamii z krwistymi paznokciami, przekreślając prawa prawdziwej piękności i dobrego smaku, zapominają o świętości Domu Bożego i o powadze liturgii św., wykluczającej bez reszty tego rodzaju zachowanie się, które w przełożeniu na język Matki Najśw. oznacza: „Chodzą na Mszę św. by sobie drwić z religii".

A, co pomyśleć o innym, na szczęście rzadkim zwyczaju, ubierania się niewiast po męsku? Owszem, ubierajcie się po męsku, ale ubierzcie na to swój własny, niewieści strój!

Gdy się poważnie nad tym wszystkim zastanowimy, stwierdzimy na pewno, że to drwiny z religii...

Jesteśmy pewni, że gdyby Chrystus powrócił do nas, to w zapale i trosce o „Dom Ojca" uciekłby się znowu do bicza, by przepędzić ze świątyni tych niegodnych katolików, którzy zapominają, że kościół jest i będzie po wsze domem modlitwy, a nie teatrem widowisk!

Każdy się z nami zgodzi, że nic świadczy o poważnym udziale we Mszy św. regularne spaźnianie się na nią! A jednak i pod tym względem wielu katolików daje w tym względzie zgorszenie innym swą niedbałością.

Przychodzi się na czas na wszelkie uroczystości treści familijnej, a nawet przychodzimy 5 minut przedtem. Nie spóźniamy się na zebrania towarzyskie. Przychodzimy na czas na mecz piłki nożnej, a — na Mszę św. przychodzimy bez żenady, bez cienia wstydu po Ewangelii, po kazaniu, po Podniesieniu, a nawet i po Komunii św. i wychodzimy wspólnie z tymi, którzy przyszli na początek, sądząc, że byliśmy na Mszy św.

Inni znowu opuszczają Mszę św. przed lub po Podniesieniu, jakby się obawiali Chrystusa spoczywającego na ołtarzu, a może z obawy, aby ich samych nie złożono w ofierze. Inni, cierpliwsi, wychodzą zaraz po Komunii św., jakby w obawie, by błogosławieństwo kapłańskie nie przyniosło im nieszczęścia, albo, jakby po Mszy św. zamiast tych trzech „Zdrowaś Maryjo" — odmawiało się co najmniej cały Różaniec.

Są i tacy, którzy z zasady przychodzą spóźnieni, zawsze jednak gotowi wyjść przed wszystkimi.

A tego rodzaju zachowanie się zasługuje na napiętnowanie.

* * *

Katolicy! — Zamiast tak niegodnego naszego stanowiska wierzących — nieuszanowania dla miejsca św. starajmy się pobożnie wysłuchać Mszy św. a wypełnimy jedno z czołowych przykazań Kościoła: „Mszy św. z należytym nabożeństwem słuchać"! *b.*

Pijak — świętym...

Matt (Mateusz) Talbor był prawie naszym rówieśnikiem. Umarł w 1925 roku.

Zaszarzały pijak, za łaską Bożą wznosi się ku szczytom świętości.

Urodzony w Dublinie, dnia 2 maja 1856 r., pochodzi z bardzo uczciwej rodziny robotniczej. Już w 12 roku życia idzie do rzemiosła i, niestety trafia na dom alkoholików... Z miejsca zabiera się do picia. Nie pomaga zmiana miejsca, przekonywania, upomnienia. W miarę posuwania się w latach, nałóg przybiera na sile. We wtorek zazwyczaj przepuszcza w całości sobotni zarobek, a co gorsza, nawet złamanego grosika nie przynosi własnej, uczciwej matce na utrzymanie. Często sprzedaje nawet swoje robotnicze buciary, by zdobyć forsę na wódzię. Oczywiście, nikt się nie zdziwi, gdy dodamy, że zaniedbał zupełnie wszelkich praktyk religijnych.

To też pewnego dnia matka była ogromnie zaskoczona, słysząc go mówiącego, że idzie do kościoła, by złożyć „ślub trzeźwości".

Co na to postanowienie wpłynęło? ...Mateusz liczył wówczas 27—28 lat. Brał udział w strejku pracowników portowych, a więc bez grosza przy duszy, a koledzy odmawiali wypłacenia zaliczki, wiedząc, że i tak wszystko obróci na wódkę.

Stąd datuje się jego nawrócenie!

U stóp Tabernaculum złożył zobowiązanie trzeźwości najpierw na trzy miesiące, przyrzekając równocześnie brać udział we Mszy św. codziennie o godz. 5 i odmawiać pacierz każdego wieczora w kościele.

Już w następnym tygodniu przechodzi próbę ogniową pokus. Koledzy ciągną na jednego... W chwili otrzymania zapłaty pokusa zdaje się brać górę. Mateusz podchodzi aż do drzwi karczmy, ale — prosi o butelkę lemoniady. Pokusa nie ustępuje, natrętna, a on podtrzymuje walkę.

W dwa, czy trzy lata po nawróceniu popada w rozpacz. Jakiś głos wewnętrzny ujemnie ocenia jego wysiłki, twierdząc, że trzeźwość na dłuższą metę, nie tylko jest niemożliwą, ale mija się wprost z celem. Niemoc jakaś dziwna przeszkadza mu nawet w przystępowaniu do Stołu Pańskiego. Trzykrotnie musiał wtedy opuszczać kościół. Nareszcie, zamiast wchodzić do świątyni, rzuca się krzyżem na stopnie przy wejściu i woła: „Nie chcę, o Dobry Panie wracać do tego strasznego nałogu, który tak niedawno porzuciłem"! Błaga też i Najśw. Panienkę o wstawiennictwo i po kilku minutach, uspokaja się zupełnie. Wchodzi następnie do kościoła i przyjmuje bez przeszkód wewnętrznych Komunię św.

Odtąd życie Mateusza znaczy się nieustannym postępem w doskonałości.

Sypia na twardej desce, nakrywając się lichą kołderką. Na głos bu-

dzika zrywa się co noc o drugiej na modlitwę. Trzy dni w tygodniu pości. Dojdzie do tego, że zadowolni się troszeczką mieszanki, którą pretensjonalnie „kakao" nazywa, dodając do tego kromeczkę chleba. Jada zawsze na klęczkach. Codziennie wysłuchuje najwcześniejszej Mszy św., wyczekując na klęczkach otwarcia kościoła. Po Mszy św. odprawia „Drogę Krzyżową".

Życie wiedzie czyste, zawdzięczając to w dużej mierze Matce Najśw. Nabożeństwo do Matki Najświętszej jest treścią jego życia. Jej figurkę nosi na sercu.

„Nie wyobrażacie sobie nawet, mawiał do otoczenia, czym jest ta Dobra Królowa dla mnie"? Matka jego często przysłuchiwała się jego głośnej rozmowie z Matką Najświętszą.

Jego chlebodawcy zgodnie zaświadczają, że Mateusz nigdy nie spóźniał się do pracy. Podczas przerwy w robocie zaszywał się w jakimś ciemnym kąciku, gdzie modlił się za swoich kolegów.

Bluźniercom zwracał słodko uwagę: „Jezus Chrystus cię słyszy"... Dobrotliwie upomina młodzieńców zabawiających się niemoralnymi dowcipami.

Zawsze miły i usłużny dla wszystkich. Na „Anioł Pański" przerywa pracę, zdejmuje nakrycie głowy i odmawia modlitwę.

Miał też swoją własną, podręczną bibliotekę. Między innymi widziało się tam książkę o. Fabera: „Wszystko dla Jezusa", o. Sertillanges: „Jezus", błog. Grignon de Montfort: Prawdziwe nabożeństwo do Matki Bożej, — dzieła Ludwika de Blois, św. Franciszka Salezego i in.

7 czerwca 1945 r. Mateusz Talbot umiera nagle na środku jezdni, w drodze na Mszę św. do kościoła OO. Dominikanów. Ciało przeniesiono do kostnicy szpitala. Siostry przygotowując ciało do pogrzebu, odkryły włósiennicę i ostre łańcuszki.

Śmiertelna jego powłoka spoczęła w skromnym grobie na miejscowym cmentarzu, a proces o jego wyniesienie na ołtarze jest już w toku. Liczba łask, za jego wstawiennictwem otrzymanych wzrasta: Nawrócenia, uzdrowienia, zgody rodzinne, uzdrowienia pijaków, itd.

Myślmy często o tym, że nieraz robotnik portowy, spotykany nad brzegami naszych rzek czy mórz, albo wyrobnik przedmieścia, świętością swego życia, sumiennym przestrzeganiem przykazań Bożych, może wywołać rumieńce wstydu u „z a w o d o w y c h ś w i ę t o s z k ó w"...

Odw. Betsajdy.



O świętości bł. Bronisławy

Zdaniem św. Franciszka Salezego wszyscy powołani jesteśmy do świętości i tylko brak wierności dla łask, jakie otrzymujemy, sprawia, że tak mało mamy stosunkowo Świętych. Wierność dla łaski zaznacza się u niektórych dusz prawie od pierwszych dni młodości, w początkach życia duchowego, podczas gdy inne



Błogosławiona Bronisława

idą mniej lub więcej za pociągiem swoich złych skłonności i schodzą z drogi, wiodącej ich do Boga. Szczęśliwa chwila, jeśli poznają swój błąd i zmienią kierunek swego życia. A więc walka z sobą samym, by zachować łaskę Bożą, gorliwość, by ją pomnażać, to pierwsze kroki na drodze do świętości.

Świętość to pełnia życia Bożego w nas; jest więc darem Bożym, a nasz wysiłek powinien zmierzać przede wszystkim w kierunku oczyszczenia się z grzechów i ich pozostałości, różnych wad i nabywaniu cnoty, korzystając z każdej okazji, jaką nam życie codziennie przynosi. Święci gorliwie i stosunkowo w krótkim czasie spełnili tę pracę przygotowawczą, a idąc za pragnieniem świętości, jakim ich darzył Bóg, nie żałowali cfiar, by iść dalej i zdobyć cnoty doskonałe. W doświadczeniach, jakie im zsyłał Bóg, by ich jeszcze więcej oczyścić i uświęcić, okazali się mężnymi i miłującymi, dlatego zasłużyli na dalsze wylewy łask.

Dusze przeciętne są mało ofiarne, zatrzymują się w drodze, by szukać przyjemności, boją się iść za daleko i dlatego pozostają zawsze małymi.

Aby osiągnąć świętość heroiczną, trzeba być gotowym na wielkie cierpienia, znosić je chętnie, gdy P. Bóg nam ich udzieli, przemieniać wszystko w miłość, której pragnienie musi być nieskończone. Trzeba też oddawać się z zamiłowaniem modlitwie wewnętrznej czyli rozważaniu rzeczy Bożych i czynić w niej wielkie postępy. W czasie modlitwy bowiem pada na duszę promień Bożej świętości, — podczas rozważania Bożych doskonałości, aby się w nich rozmiłować otrzymuje dusza wyrażenie ich na sobie: staje się dobra, sprawiedliwa, cierpliwa, miłująca prawdę, Boga i bliźnich. Wtedy wszystkie czyny, myśli i słowa no-

sza na sobie wyrażenie Bożej piękności.

Z tego punktu już doskonałej świętości oglądamy bł. Bronisławę w chwili jej beatyfikacji w r. 1839, po sześciu wiekach kultu. Akta beatyfikacyjne podają zdania różnych pisarzy katolickich, że była świętą dziewicą, świątobliwą zakonnicą. — Wspominają też o wielkich łaskach, jakich jej P. Bóg udzielał na modlitwie.

Świętość prawdziwa nie może się ukryć całkowicie, podobnie jak zapach lilii. Wielki ogień miłości Bożej, jak się pali w sercu Świętych, wybucha żywym płomieniem na różne sposoby i rozpala wiele dusz, pobudzając do różnych dzieł, by P. Bóg był znany, miłowany i chwalony przez wszystkie serca.

A gdyby nawet czyny zewnętrzne były niedostępne dla świętej duszy, jej wpływ wewnętrzny na inne dusze jest tak wielki, że ocenić go może tylko sam Bóg.

Sława świętości bł. Bronisławy i jej możnego orędownictwa u Boga otaczała ją czcią pokoleń przez długie wieki. Któż zliczy łaski, którymi pociągała dusze ku Bogu, leczyła ich rany, cieszyła w smutku, podnosiła w upadku i zwątpieniu?... W ostatnich 20 latach zanotowano ich ponad 2 tys. i coraz to nowe zgłaszają jej czciciele. Oni też pragną jej kanonizacji, by większą niż dotąd miała chwałę i rozszerzoną na cały świat.

W r. 1928 pisał jeden z czcicieli bł. Bronisławy, Radca sądowy w Nowym Targu: Czcimy bł. Bronisławę jako świętą, modlimy się do niej, czemu nie staracie się o jej kanonizację? Podobnych pragnień znajdzie się wiele, zwłaszcza w podziękowaniach za łaski. Prośmy o to P. Boga z ufnością! zwłaszcza ci, co noszą w sercu dług wdzięczności dla bł. Bronisławy.

Różne są drogi do świętości i różne jej stopnie. Na drogi szczytne powołuje P. Bóg przez łaski szczególne dusze wybrane, które mają do spełnienia większe zadanie na ziemi. Lecz wszystkich powołuje nas łaska wiary, by przez usilną współpracę z otrzymanymi łaskami, stali się przedłużeniem życia Jezusowego, żywymi członkami mistycznego Ciała Chrystusowego na ziemi, jakim jest Kościół św. Czytajmy i rozmyślajmy Ewangelię, by przyswoić sobie ducha Chrystusowego. Żyjmy wiarą, nadzieją, miłością.

S. A.

Może zapomniałaś?

U pp. Iksińskich panuje od rana niebywały ruch. Czują to mieszkańcy niższych pięter, musząc znosić cierpliwie przesuwanie mebli i głośne, rodzinne rozmowy mniej więcej takiej treści:

— Zamknąłeś, Władku, drzwi od salonu? — Tak!

— A, gdzie klucze od kredensu? — Włożyłem pod dywan.

— Nie zapomniałeś zapuścić rolety na balkonie? — Nie sądzę, zresztą, zobaczę...

* * *

Podczas, gdy rodzice na takiej miłej pogawędce spędzali przedwy-

jazdowe godziny, ich pociecha, sześcioletni Dziduś, ubrany w nowe spodenki, z berecikiem granatowym na główce, wsparty na parapecie okiennym, pożerał chciwie oczyma ruch uliczny, skąd dolatywał go głos dzwonków tramwajowych, samochodowych klaksonów i śnił sny podróżne: »My także pojedziemy«... Wtem zajechała taksówka przed bramę... Ucieszony malec, wybiega do kuchni, wołając: Mamo, mamo, taksówka czeka na dole...

Upłynęła dobra chwila, zanim matka wydała polecenie: »Znieś, Władku na dół walizki!

— Zabiorę i Dzidka z sobą, odpowiada posłuszny na skinienie ojciec.

A nie zapomniałeś zabezpieczyć kotła parowego? — Nie!

— Nie zapomnij zabrać kapelusza i rękawiczek! Chusteczkę masz przy sobie? — Tak!

* * *

Przy krawężniku deptaka, po którym idą śpiesznie przechodnie, rzucający z ukosa zazdrosne spojrzenia na stos zniesionych z góry walizek szczuplutki szofer oczekuje spokojnie na panią domu, myśląc, kiedy się wreszcie ta kobieta zdecyduje wsiąść do wozu...

Czy zniosłeś, Władku, walizkę dziecka? — Oczywiście, przecież ją widzisz tutaj!

Nie zapomniałeś kluczy, portfelu? — Ależ, nie! Mam wszystko!

— Zdawało mi się, żeśmy coś zapomnieli. Otóż, właśnie, nie zostawiliśmy naszego adresu dozorczyni. Zaraz to załatwię!

— Tylko szybko, moja droga, bo się spóźnimy na pociąg!

* * *

Zaledwie p. Władysław domówił ostatnich słów, a tu zbliża się do niego jakiś człowiek i kłaniając się trochę nieśmiało, ale z wyszukaną grzecznością, pozdrawia go, mówiąc: »Dzień dobry Panu«.

— Dzień dobry, dzień dobry! Nie zauważyłem pana...

— Wybiera się pan na wczasy? Tak! Do Polanicy, panie. Serce mi nawala. Zima była podła. Kobieta i malec potrzebują zmiany powietrza.

— Na długo się pan wybiera? — Gdzie tam!... Ja... na trzy tygodnie... Oni?... na sześć...

— Chciałbym o coś poprosić... Wprawdzie to chwila wysoce niestosowna, ale... Mów, pan, mów, ale — szybko. Żony jeszcze nie ma Boże, spóźnimy się do pociągu...

— Czy nie mógłby pan, przed wyjazdem na wczasy dać mi coś a conto mego rachunku? — Panie, chyba pomyłka. Ja u pana, o ile sobie przypominam niczego nie brałem, a żona chyba też... Proszę, oto podpis pańskiej żony!...

— Co? — Pan u mnie nie kupował to prawda, ale pani, niestety, tak. — Od pięciu lat przyrzeka mi wypłacić należytość, ale zawsze w przyszłym miesiącu... Ponieważ właśnie dziś upływa termin ostateczny płatności, a nie chciałbym wtajemniczać w te drobnostki, rozumie pan, prokuratora, więc, przyszedłem...

— Daję słowo, nie wiedziałem nic o tym rachunku!

* * *

Po tym oświadczeniu, pan Władysław wysiadł z taksówki. Porozmawiał chwilkę ze szoferem, zabrał walizy i złożył je z powrotem przy bramie domu.

Gdy wóz zginął w morzu innych środków lokomocyjnych i ludzi, Władysław przyjrzał się bacznie rachunkowi, następnie wyjął portfel i zapłacił całą należytość. W międzyczasie, Dziduś, pociągając jedną ręką za wązgę ojcowskięgo płaszcza, a drugą, wskazując na ulicę, wrzeszczał: „Tatusiu dlaczego szofer uciekł"?

* * *

Właśnie, gdy kupiec odchodził sprzed domu, przybiegła małżonka Władysława: „Nie ma końca z tymi natrętami, powiada pośpiesznie, rzucając niespokojne spojrzenia w stronę męża". Owszem skończyłem z nim... płacąc mu pięcioletnie Twoje długi...

— Gdzie auto?... Dlatego zniosłeś walizki? — Kochanie, zapomniałaś zapłacić korzennikowi... O, on mógł sobie jeszcze trochę poczekać...

— Czekaliśmy obydwaj, nawet dość długo: On od lat pięciu, a ja straciłem pociąg na wczasy.

* * *

Stąd wniosek: — Kto płaci długi przed wakacjami, ten postępuje uczciwie i sprawiedliwie. — Przyjemność musi ustąpić obowiązkowi!

E. en. Ogoz.

Wprost nie chce się wierzyć, by...

Być katolikiem, to nie tylko odmawiać „kanon" pacierza rannego i wieczornego!

Być katolikiem, to nie tylko bywać na Mszy św. w niedzielę i święta!

Być katolikiem, to nie tylko wyznawać dorocznie swe grzechy, nawet z podkreśleniem, że się nikogo nie zabiło ani nie ograbiło!

To coś, dopiero... Dopiero przestrzeganie litery, ale nie ducha wypływającego z głębin Chrystusowej Ewangelii...

Katolicyzm domaga się od nas czegoś więcej; schodząc w głębie naszego życia, każe żyć duchem i prawdą Chrystusowego prawa.

Do pełnego życia katolickiego jeszcze nam daleko, a sposób naszego życia, współżycie z bliźnimi, udowadnia nam niezbicie, że jesteśmy często dwulicowymi... Innymi na niedzielę i święto, a innymi na codzień, a więc: w sklepie, za ladą, przy wadze, na ulicy, w tramwaju, w pociągu, w kinie, w teatrze, w szkole, w urzędowaniu, etc.

Gdyby nas sądzić, oceniać ze złożonych rąk, z przechylonej podczas modlitwy głowy, z wykrzywionej twarzy i ze szmeru opuszczających nasze usta słów modlitewnych, kwalifikowalibyśmy się wprost na ołtarze.

Jesteśmy jednak na tyle niechcąco uczciwymi, że po odmówieniu „kanonu" modlitw porannych czy wieczornych, zamykamy szufladkę wiary, składamy odświętny garnitur i wysuwamy szufladkę życia. Zapominamy skrzętnie o ślubach, przyrzeczeniach, postanowieniach.

Może kilka przykładów, wziętych tak wprost na surowo z życia, naświetli trochę rzucone wyżej myśli?

1) Czy jesteśmy katolikami, gdy odmawiając pacierz, a może nawet wprost przy słowach „odpuść nam nasze winy, jak i my odpuszczamy naszym winowajcom" — okładamy szturchańcami służbę czy dzieci za to, że upuściły przez nieuwagę talerz czy inny przedmiot?

2) Czy jesteśmy katolikami, gdy po powrocie z kościoła, a często nawet po spowiedzi i Komunii św. wracamy do przedawnionych gniewów, wyzwisk i włączamy się w sąsiedzką nienawiść?

3) Czy jesteśmy katolikami, gdy tuż po kościele wstępujemy do knajp, a wracamy często na czterech, a w każdym razie pod „dobrą datą", urządzając w domu burdy i bijatyki, zachowując się

przy tym, jak czworonogi w odniesieniu do żony, córek i to, na oczach dorastającej młodzieży, nieletnich dzieci, służby, i obcych?

4) Czy jesteśmy katolikami, gdy do pół litra mleka dolewamy drugie tyle wody, aby je sprzedać za pełne mleko dla dziecka i robotnika czy urzędnika, lub dla chorego na gruźlicę?

5) Czy jesteśmy katolikami, gdy do masła wtykamy kawał cegły, kamienia, marchwi czy ziemniaka i sprzedajemy je pod gwarancją?

6) Czy jesteśmy katolikami, gdy świadomie oszukujemy na wadze i miarze?

Oczywiście, te obrazki naszej sumienności można by mnożyć. Sądzimy, że i tych kilka powinno nas zastanowić i skłonić do nawrotu na drogę Bożych przykazań.

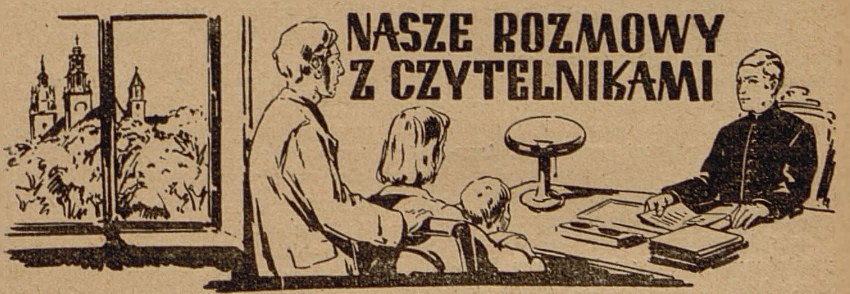
Musimy zerwać z tak niegodną ludzi, a cóż dopiero katolików dwulicowością, skończyć z szufladkowym, a więc: D w u l i c o w y m, osobnym na niedzielę, a osobnym na codzień katolicyzmem.

Rywalizujmy między sobą i z otaczającym nas światem, nie o słowa, piękne słowa, ale o czyn katolicki, w myśl powiedzenia naszego wieszcza:

„W słowie tylko chęć widzim,
w działaniu potęgę:
Trudniej jest jeden dzień przeżyć,
niż napisać księgę!"

Gdyby się modlitwą poruszały usta nasze, a czyny nasze kłóciły się z „d u c h e m" i p r a w d ą" Ewangelii, działalibyśmy najpierw na szkodę własnej duszy, następnie na szkodę Kościoła Katolickiego, którego przecież chcemy być członkami, a przede wszystkim, obrażalibyśmy Boga, czcząc Go wargami, a serca nasze i przywiązania nasze, daleko byłyby od Niego. Raczej, niech się spełni na nas Bożego Syna życzenie: „Niechaj tak świeci światło wasze przed ludźmi, by oglądając czyny wasze dobre, chwalili Ojca Waszego, Który jest w Niebiesiech".

M.



DĘBICA. **R. K.** — Serdecznie dziękujemy za pamięć o naszych klerykach studiujących w Krakowie. Ofiar nie mierzy się wielkością, lecz czystą intencją. Zresztą, według stawu grobla.

BŁAŻOWA RZESZOWSKA. **D. St.** — Nasza wdzięczność za otrzymane łaski nie może się streszczać tylko do podziękowania w pisemku. Wdzięczność należy podkreślać życiem całym przez wierne wykonywanie obowiązków katolickich, bo inaczej odnosiło by się do nas Chrystusowe powiedzenie: „Ten lud czci mnie wargami, a serce jego daleko jest ode mnie".

KARPIÓWKA. **S. T.** — Nie łatwiejszego dla nas, jak wysyłać pisemko, zwłaszcza, gdy o nie proszą. Więc wysyłamy, niech służy Marii Saletyńskiej w Karpiówce.

SAMOWICE. **W. W.** — Ofiarę otrzymaliśmy i chyba się Pan nie pogniewa na nas, że przekazaliśmy ją na utrzymanie naszych kleryków, polecając równocześnie Ofiarodawcę przemożnej opiece Tej, o Której nie słyszano, by kogokolwiek opuściła.

SOKÓŁKA. **P. L.** — Ofiarę przekazujemy na wszystkich, gdyż u nas wszystko jest wspólne, nawet: zmartwienia i tro-

ski, od wszystkich też obdarowanych „Bóg zapłać" przesyłamy. Na zapytanie w P. S. nie umiemy odpowiedzieć. To przekracza zakres naszej wiedzy.

WROCŁAW. **O. J.** — Ofiarę na kościół Matki Boskiej Saletyńskiej w Dębowcu otrzymaliśmy i niniejszym serdeczne „Bóg zapłać" składamy. W ten sposób świątynia Matki Płaczącej, dźwignięta ofiarami ze zniszczenia wojennego, nabierze należytego wyglądu.

KAZANÓW. **K. W.** — Już nieraz wyjaśnialiśmy na tym miejscu, że za Mszę św. nie wyznacza się wysokości ofiary, bo w przeciwnym razie ofiara straciłaby swój charakter. Ofiara wówczas jest ofiarą, gdy wypływa z dobrej woli człowieka. Wdowa, o której mowa w Ewangelii, chociaż wrzuciła do skarbonki kościelnej tylko maleńki grosik, w zestawieniu z równoczesnymi ofiarami bogatych, według oceny samego Chrystusa, najwięcej złożyła, bo wyzbyła się może koniecznego grosza na własne utrzymanie.

KAMIENNA GÓRA. **Z. M.** — I nawrócenia na La Salette nie są nowością. Pewnego razu zwiedzał Saletyńską Górę oficer francuski. Młody, eleganciki, z przewieszonym przez ramię aparatem fotograficznym, przyglądał się okalającym miejsce zjawienia dzikim górom i głębokim, przepaścistym jarom. Nie pominął oczywiście pięknej, gotyckiej, trzynawowej bazyliki poszerzonej dziesięcioma kaplicami. Jako turysta zwiedził wszystko i mając opuścić Górę przyszedł do furty klasztornej, aby się pożegnać z przełożonym Księży misjonarzy Saletynów. Na pytanie przełożonego czy wszystko widział, odpowiada śmiało, że — tak! A był Pan przy źródełku zjawienia, pyta dalej natrętnie przełożony. Oficer otwiera szeroko oczy... Nie! odpowiada. Nie? — pyta przełożony. Niech się Pan napije tej zdrowej, kryniczej wody. Oficer poszedł we wskazanym kierunku i po chwili wrócił, ale do bazyliki, gdzie, przy konfesjonale tym razem, długo przełożonemu opowiadał wrażenia ze swego żołnierskiego życia. Więc? — Mogła Matka Najświętsza w tamtym wypadku, potrafi i tu, tylko, trzeba się modlić, prosić — Pojednanie grzesznych o tę łaskę dla swoich najbliższych.

MIECHOWICE MAŁE. — Rzeczywiście pobiła Pani rekord gorliwości o cześć Matki Boskiej Saletyńskiej i dlatego najwidoczniej błogosławi Pani za to bezgraniczne poświęcenie się dla Niej. Taki optymizm bije z listu i tak ogromna o nasze dzieła troska, że pod opieką Matki Najświętszej i poparciu Jej Czcicieli śmiało kroczymy w przyszłość. „Bóg zapłać" za wszystkie starania i trudy.

NOWA WIEŚ. **W. K.** — Jak zagojonej rany nie należy rozrywać, tak samo ostrożnie z sumieniem. Więcej wybiegać myślą w przyszłość, ku Bogu, a nie cofać się: Powiada Ewangelia: „Jeśli przyłożyłeś rękę do pługa, nie oglądaj się wstecz".

NOWY SĄCZ. **S. R.** — Nie zrażamy się milczeniem, bo wiemy dokładnie, że struga ofiarności czasem zasycha, by znowu wezbrać. Dziękujemy i Matce Boskiej Saletyńskiej Panią polecamy.

NOWY SĄCZ. **H. S.** — Widać, że Ks. Szkarłat szerzy cześć Matki Boskiej Saletyńskiej w swym rodzinnym mieście, skoro coraz więcej osób wciąga się do Związku Mszalnego, mającego na celu przyjście z pomocą materialną kształcącej się młodzieży na misjonarzy saletynów. „Bóg zapłać" za troskliwą opiekę.

KOLONIA GUZY. **B. S.** — Mocno współczujemy tym dwojgu dzieciom, ale nie w naszej mocy przyjść im z pomocą. Ich sprawę polecamy codziennie Pocieszycielce strapionych.

NIEGŁOWICE. — Podziękowań z powodów technicznych nie umieszczamy na razie. Zrobimy to później. W modlitwach codziennych pamiętamy.

BYTOM. **P. B.** — Gdy Posłaniec nie nadchodzi na czas, to wyłączna w tym wina naszej niemrawej redakcji, niczyja więcej, dlatego prosimy poczty nie inkomodować. Za miłe pozdrowienia i pamięć wdzięczną serdecznie dziękuję parafianom św. Józefa i prawie naszym sąsiadom ze Sapieżynej.

LUBCZA. **L. S.** — W wysyłce Posłańca czasem trafia się pomyłka, może nawet z winy br. Ignacego, gdy mu ktoś odwróci dalekosiężne okulary, ale często skarży się biedaczysko, że czytelnicy sami przyczyniają się do pomyłek, podając niewyraźnie zwrotne adresy. Dlatego, piszmy wyraźnie i zwięźle do admini-